

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK - WYCHODZI TRZY RAZY W TYGODNIU.

Rok 2

CHOJNICE, dnia 30. VII. 1929.

Nr. 62

Człowiek, wychowany przez małpy

10)

Dalsze przeżycia człowieka-małpy

Tarzan spostrzegł, jak Rokow zjawił się ze swego ukrycia, inne oczy jednakże spostrzegły go pierwszej jeszcze i Szita z rozwartymi żarłocznymi szczękami sunęła cicho ku oniemiałemu z trwogi rosjaninowi.

Skoro Rokow ją spostrzegł, wołania jego o pomoc rozbrzmiały rozpaczliwie w przestrzeni, stał jak sparaliżowany przed okropnym potworem, skradającym się ku niemu.

Tarzan postąpił krok naprzód w stronę rosjanina, żądza zemsty rozpalala mu kipiącą krew. Nareszcie dostał w swoją moc mordercę ukochanego dziecka, zada mu teraz śmierć, na jaką Rokow zasłużył oddawna. W tej samej chwili jednak spostrzegł iż Szita ma zamiar pozbawić go łupu. Zwrócił się do niej z ostrem napomnieniem rosjana zaś na dźwięk jego głosu nabrał nagle energii i jął uciekać na przeciwny koniec pokładu, za nim poskoczyła pantera Szita.

Tarzan miał zamiar gonić oboje, gdy poczuł dotknięcie miękkiej ręki na swoim ramieniu, obejrzał się, była to Janina.

— Nie odchodź odemnie — szepnęła, — boję się zostać sama.

Tarzan spojrzał poza nią, małpy Akuta zbliżyły się ku niej, łyskając groźnie kłami i skowycząc zcicha.

Człowiek małpa krzyknął na nie, rozkazując im się cofnąć. Zapomniał na razie, iż były to tylko zwierzęta niezdolne odróżnić przyjaciół od wrogów, których dzikie natury podniecone zostały walką z załogą statku i obecnie każda ludzka istota wydała im się pożądanym kąskiem.

Tarzan spojrzawszy w stronę rosjanina, stojącego w najodleglejszym krańcu statku i drżącego z trwogi i śmiertelnego lęku, spostrzegł jak Szita zbliża się ku niemu, czołgając po brzuchu i wydając dzikie pomruki. Rokow rozejrzał się do koła, przekonywując się, że znikąd nie może się spodziewać ratunku, gdyż oto w dolnej części statku czyhały na niego małpy Akuta, żadne uchwycić go w swoje łapy.

Rokow nie miał siły uczynić najmniejszego ruchu, był jakby sparaliżowany, kolana drżały pod nim. Wydał ostatni rozpaczliwie brzmiący jęk i osunął się na ziemię, wówczas Szita rzuciła się na niego.

Gdy wielkie jej kły rozdzierały mu gardło i pierś, Lady Greystoke odwróciła się ze wstrętem Tarzan jednak spoglądał na ten straszny widok z zimnym uśmiechem zadowolenia. Czerwona blizna płonąca na jego czole przedchwilą, zbladła teraz, wracając do zwykłej barwy.

Rokow bronił się bezskutecznie przeciw strasnej Nemezis, która w postaci Szity zadawała mu

teraz zasłużoną karę za jego niezliczone zbrodnie. Gdy szamotanie jego ustało, Tarzan się zbliżył do ciała, aby, na prośby Janiny wyrwać je Szicie i pogrzebać na wybrzeżu, wielki kot jednakże nie dał się odciągnąć od łupu i wyszczerzył nawet kły na ukochanego Pana tak, że Tarzan zniewolony był zamiaru zaniechać.

Przez całą tę noc pantera Szita siedziała nad trupem Mikołaja Rokowa. Pokład Kincaidu był zalany krwią. Wielkie zwierzę rozkoszowało się swoją biesiadą w świetle podzwrotnikowego księżyca, zaś gdy nazajutrz słońce wstało, tylko garść połamanych i poobgryzanych kości pozostało po największym wrogu Tarzana.

Z załogi Kincaidu, pozostało czterech uwięzionych marynarzy, reszta zginęła w szponach małp i pantery, brakowało również i Paulwicza, który gdzieś zniknął bez śladu. Tarzan postanowił przy pomocy pozostałych ludzi, pomiędzy którymi był i sternik, wyruszyć w stronę wyspy dżungli, o świcie jednak wiatr dmący silnie z zachodu, przeszkodził im w urzeczywistnieniu tego zamiaru i przez cały następny dzień statek pozostał przy ujściu rzeki.

Dzika horda przechadzała się bez żadnych przeszkód po pokładzie w ciągu dnia, Tarzan bowiem i Mugambi nauczyli swą drużynę, iż nie wolno rzucać się na nikogo z Kincaidu, na noc jednak zamykali zwierzęta na dole pod pokładem.

Tarzan został uniesiony radością, skoro żona opowiedziała mu, że dziecko zmarłe na gorączkę w wiosce Mganwazama nie było jego synkiem. Do kogo mogło ono należeć i co się stało z ich własnym niemowlęciem, tego nie umieli sobie wytłumaczyć, ponieważ zaś Rokow nie żył, Paulwicz zaś zniknął im z przed oczu, musiało to na razie pozostać tajemnicą.

Doznawali jednak pewnego uczucia ulgi w przeświadczeniu, że mogli mieć nadzieję odzyskania synka. Jasne bowiem było dla nich że mały Jack nie został sprowadzony na pokład Kincaid Anderssen byłby o tem wiedział, a przecie kilkakrotnie zapewniał aJaninę, że niemowlę przyniesione jej w noc ich ucieczki z Kincaidu było jedyne-nemdzieckiem, znajdującym się na statku od czasu wyruszenia tegoż z Duwru.

ROZDZIAŁ XVIII.

Paulwicz knuje zemstę.

Gdy Janina i Tarzan stali na pokładzie statku opowiadając sobie wzajem szczegóły nadzwyczajnych przygód, które ich spotkały od czasu rozstania się ich w Londynie, na wybrzeżu śledziła ich ukryta w zaroślach postać, obrzucając ich nienawistnym spojrzeniem mściwych oczu, wyglądających z pod krzaczastych brwi.

W głowie Aleksandra Paulwicza, przypatrującego się z ukrycia swoim niedoszłym ofiarom, roilo się od pomysłów zemsty, skierowanej głównie do człowieka który w jego wyobraźni pozbawił go poczucia sprawiedliwości, był jedynym powodem nieszczęść Rokowa i jego samego, przyczyniając się przed kilkoma laty do wyjawienia ich przestępstw, obecnie zaś wymykając się z zastawionych na niego sidła. Za każdym nowym pomysłem Paulwicz przechodził do wniosku, że nie nie zdoła skutecznego działać, dopóki zdradliwe nurty rzeki Ugambi będą go oddzielały od przedmiotu jego nienawiści.

Postanowił zatem, przewyciężając swój strach przed niebezpieczeństwami dżungli, udać się do wioski Mosulczyków, leżącej w pewnej odległości od brzegu rzeki, tam zaś wystarawszy się o czołno podpłynąć nocą do Kincaidu i zbuntować załogę, namawiając ją do pozbycia się ze statku Tarzana i jego straszliwej drużyny.

W kajucie, którą Paulwicz zajmował podczas swego pobytu na statku, znajdowała się broń oraz naboje, była przytem schowana w skrytce stolika jedna z tych maszyn piekielnych, budowa której zajmowała wiele czasu Paulwiczowi, kiedy to należał do związku Nihilistów rosyjskich, dopóki nie wydał swoich towarzyszy w ręce policji wzamian za złoto i obietnicę wolności.

Paulwicz wzdrygnął się cały, przypominawszy sobie przekleństwo, jakie jeden z towarzyszy, zdradzonych przez niego, rzucił w jego stronę, ginać na szubienicy. Odrzuciwszy to przykre wspomnienie, jał rozmyślać nad sposobem dostania się do maszyny, której odpowiednie nakręcenie wystarczało, aby obrócić w perzynę cały Kincaid i pozostających na nim pasażerów.

Paulwicz oblażał się z radości, radując się zawczasu tą myślą, popędził teraz szybciej, przewyciężając zmęczenie, aby móc uzyskać czołno i zjawić się na czas, na wybrzeżu Ugambi, zanim Kincaid wyruszy stamtąd na pełne morze. Wszystko zależało oczywiście od tego, kiedy Kincaid odjedzie, rosjanin zdawał sobie sprawę, że może to nastąpić tylko w dzień, wiatr wschodni, dmący teraz silnie, stanowił poważną przeszkodę w podróży, jedynie z powodu tego zapewne statek nie opuszczał ujścia rzeki, jeżeli zaś wiatr ów potrwa odjazd odwlecze się prawdopodobnie do następnego dnia z rana.

W tym wypadku zamiar Paulwicza miałby większe prawdopodobieństwo powodzenia.

Południe minęło już dawno, gdy Paulwicz doszedł do wioski Mosulczyków, leżącej nad dopływem Ugambi. Tam został on przyjęty z niedowierzaniem i niechęcią przez znanego sobie wodza plemienia, któremu tak, jak wszystkim, mającym do czynienia z Rokowem i Paulwiczem, dała się we znaki chciwość i dokuczliwość okrucieństwo dwóch moskali.

Skoro Paulwicz poprosił o czołno, wódz wymamrotał słowa odmowy i rozkazał białemu opuścić natychmiast wioskę. Otoczony przez gniewnych wojowników wyczekujących zda się sposobności, aby zakłuć go swymi włóczniami, rosjanin zmuszony był wycofać się z owej osady.

Dwunastu zbrojnych ludzi odprowadziło go do skraju polanki, dając mu przestrożę, aby nie odważył się więcej ukazać między niemi. Thumiąc gniew, Paulwicz, zapuścił się w dżunglę, lecz skoro tylko stracił z oczu wojowników, zawrócił znowu w kierunku dopływu rzeki, mając ciągle nadzieję znalezienia jakiegoś czołna.

Obecnie, oprócz pragnienia zemsty, do wykonania której czołno mu było niezbędne, kierowało nim również poczucie samoobrony wobec niebezpieczeństwa, grożącego mu ze strony dzikich, jak się przekonał o tem po nieżyczliwym ich przyjęciu.

Położył się nad brzegiem wody w zaroślach, wypatrując stamtąd, zali nie zjawi się czołno, niezbędne mu do wykonania jego planów.

Rosjanin nie potrzebował czekać długo, gdyż niebawem od strony wioski zjawiło się czołno, którem kierował młody chłopiec z plemienia Mosulczyków.

Skoro czołno zbliżyło się do naturalnego kanału, łączącego dopływ z rzeką Ugambi, siedzący w niem chłopiec pozwolił się unieść prądowi, sam zaś zaprzestając wiosłować, rozciągnął się wygodnie na dnie łódki, kołysany mile przez fale.

Prąd uniósł nieświadomego niebezpieczeństwa chłopaka, podczas gdy Paulwicz, niby srogie fatum, szedł za nim krok w krok, czołgając się po ziemi w nadbrzeżnych zaroślach.

W odległości jednej mili od wioski, czarny chłopiec zanurzył znowu wiosła w wodę, kierując się ku wybrzeżu i wreszcie przywiązał czołno do gałęzi, nachylając się nad wodą drzewa, ruchy chłopca były leniwe i ociężałe, tak, jakgdyby zapatrzył się na leniwy bieg małej rzeczki, zwolna, jakgdyby z żalem, rzucającej się w czarne nurty Ugambi.

Jak waż, czatujący na swą ofiarę, rosjanin z ukrycia swego śledził nieświadomego niebezpieczeństwa chłopca. Wzrokiem mierzył postać właściciela czołna, obliczając zali będzie mu trzeba wiele siły zużyć na walkę z nim.

— Czy ten bałwan nigdy nie wysiadzie z czołna? — myślał Paulwicz, spoglądając zawistnie na czarnego, który tymczasem oglądał łuk, sprawdzał ilość strzał w kołczanie, ziewnął parę razy, wreszcie spojrzawszy na słońce wzruszył ramionami, jakgdyby stwierdzając, że ma dosyć czasu na polowanie i rozciągnął się na dnie czołna, przy mykając powieki. Wkrótce regularny oddech i od głosy chrapania przekonały rosjanina, że pora do działania nadeszła. Ostrożnie, na palcach skradął się do śpiącego, wtem na szelest poruszonej przez niego gałęzi, chłopiec drgnął we śnie. Paulwicz przystanął, nastawiając rewolwer, wreszcie przekonawszy się, że stosowna chwila nadeszła, pociągnął za cyngiel. Rozległ się wystrzał i śpiący, trafiony w samo serce, zasnął na wieki z niewinnym uśmiechem, zarysowującym się na jego policach. Morderca nie zawahał się wcale w chwili stanowczej, nie wzruszył go widok bezbronnego chłopca, którego tak niesprawiedliwie pozbawił życia, z wysiłkiem uniósłszy trupa, rzucił go w wodę, sam zasiadając na jego miejsce w czołnie i wiosłując gwałtownie w kierunku Ugambi, miotany jedną tylko myślą, dopłynięcia w porę do statku.

Tymczasem zmierzch zapadał, wkrótce Paulwicz zmuszony był torować sobie drogę po ciemku, przez cały czas pozostając w niepewności, zali jeszcze zostanie parowiec na miejscu. To też z prawdziwą ulgą rozeznał kontury Kincaidu przy młdym świetle latarni, palącej się na pokładzie.

Ostrożnie podjechał pod burtę statku i wspiał się na pokład po sznurowej drabinie. Rozejrzał się z lękiem, obawiając się spotkania z dzikim zwierzem z czeredy Tarzana, na pokładzie jednak nie było nikogo, tylko na górnym pomoście paliła się latarnia, tam wślizgnął się Paulwicz i spostrzegł

jednego z marynarzy, znanego sobie rzezimieszką, na którego współudział bardzo liczył, czytającego książkę.

Podszedł do niego wymawiając szeptem jego imię. Człowiek ów oderwawszy oczy od książki, spojrział zdumiony na pomocnika Rokowa, wymawiając przekleństwo:

— Tam do licha! — zawołał, — skąd się pan tutaj wzięłeś? Sądziłem wszyscy, żeś pan poszedł tam, dokąd dawno djabeł powinien by pana zabrać. Lord Greystoke będzie uszczęśliwiony powitać Pana!

Paulwicz przybliżył się do majtka. Przyjazny uśmiech rozjaśnił mu twarz, wyciągnął do niego rękę, jakgdyby witając w nim odzyskanego przyjaciela. Majtek udał, że nie widzi wyciągniętej dłoni, nie odpowiedział też na uśmiech.

— Przyszedłem wam pomóc, — jął tłumaczyć Paulwicz, pomóc w pozbyciu się anglika i jego bestji, wówczas nie będzie nikomu z nas grozić kara, skoro wrócimy w cywilizowane strony. Możemy się wkraść do nich, podczas gdy śpią, to możemy rozprawić się z Greystokiem, jego żoną i tym wstrętnym Mugambim, wówczas damy radę zwierzętom, dając do nich ognia. Gdzież oni śpią?

W kajutach na dole — odparł majtek, — ale posłuchaj tylko Paulwicz, Nie masz najmniejszego prawa buntować się przeciwko anglikowi. Do syć mieliśmy obcowania z tobą i z tamtym lajdakiem, który marnie zginął, przeczuwam, że taki sam koniec i ciebie czeka. Obchodziliście się z nami, jak z psami, jeżeli zaś sądzisz, że zasłużyłeś sobie za to na naszą miłość, to wybij to sobie z głowy.

Chcesz powiedzieć, że masz zamiar mnie wydać? — zapytał Paulwicz.

Majtek skinął twierdząco głową, po chwili namysłu jednak dodał:

— Chyba że mi się opłaci wypuścić cię stąd, zanim anglik spostrzeże twoją obecność.

— Czyżbyś chciał zapędzić mnie w dżunglę, — zagadnął Paulwicz, — wiesz przecie, że zginąłbym tam w ciągu paru dni.

— Tam przynajmniej miałbyś jakąkolwiek nadzieję zachowania się przy życiu, podczas gdy tu zamordowałyby cię niechybnie moje drapieżne druhy, które na twoje całe szczęście spoczywają teraz, nieświadome twej obecności.

— Oszalałeś! — zawołał Paulwicz, — Czyż nie wiesz, że anglik każe was wszystkich powiesić skoro bowiem tylko powrócicie do Europy, wyda was w ręce władzy!

— Nic podobnego, — odparł marynarz. — Po wiedział już nam, że nic się nam złego nie stanie, ponieważ byliśmy tylko ślepymi narzędziami w rękach twoich i Rokowa, rozumiesz?

Przez pół godziny rosjanin prosił i groził, był już bliski płaczu, obiecywał majtkowi nadzwyczajne nagrody, to znowu straszył go okropną karą, czekającą go z rąk anglika, ten jednakże był niewzruszony.

Wytłumaczył dobitnie rosjanowi, że dwie drogi tylko stoją przed nim otworem, albo zostanie w tej chwili stawiony przed Lordem Greystoke, albo musi okupić możliwość powrotu do dżungli, wyzbywając się każdego grosza na korzyść tego, którego chciał namówić do buntu.

— Musisz się prędko zdecydować w tę albo w tamtą stronę, bo nie mam czasu na takie ceregiele, — dodał zorstko marynarz.

— Pożałujesz tego! — próbował zbić go z tropu rosjanin.

— Milcz durniu! — krzyknął groźnie majtek, — bo zobaczymy, kto czego pożałuje!

Paulwicz nie miał bynajmniej ochoty wpaść w ręce Tarzana, lekając się śmierci, na którą zasłużyło jego zbrodnicze postępowanie, obawa zatem przed niebezpieczeństwami dżungli wydawała mu się mniej straszną niż znalezienie się przed obliczem człowieka - małpy.

— Kto zamieszkuje w mojej kajucie? — zapytał.

— Stoi pustkami, — odparł marynarz, — Lord i Lady Greystoke zajmują tę największą, w drugiej śpi podszypier, twoja jest wolna.

— Pójdę tam zatem po moje kosztowności, aby ci je wręczyć, — poddał Paulwicz.

— Będę ci towarzyszył, aby ci jaki wybrzydek do głowy nie przyszedł, — oświadczył majtek i sprowadził Paulwicza na dół aż pod próg kabiny, gdzie stanął na straży. Rosjanin jął zbierać swój dobytek, romyślając przez ten czas, w jaki sposób mógłby wywrzeć zemstę, której tak pragnął, przypominawszy sobie wreszcie maszynę piekielną, jął gorączkowo szukać wiadomej sobie skrytki w stoliku. Los sprzyjał mu tym razem, skrytka była nienaruszona, pochwyciwszy tedy małą, żelazną szkatułkę, zawierającą przyrząd śmierci, nakręcił jej mechanizm, podobny do mechanizmu zegarowego i nastawiwszy wskazówkę na pewną, oznaczoną godzinę, schował starannie szkatułkę, uśmiechając się zjadliwie na myśl o niechybnej katastrofie, jaka spotka Kincaid i jego pasażerów.

Trzymając w ręku garść nagromadzonych przedmiotów, a pod pachą zawiniątko z ubraniem podał je oczekującemu go majtkowi.

— Oto moje rzeczy, — rzekł, — a teraz pozwól mi odejść.

— Poczekaj chwilkę braciszku, — odparł tamten, — muszę jeszcze dobrze przetrząsnąć ci kieszenie, znajdę tam może coś, co tobie będzie zgoła zbyt cennym w dżungli, a co się wielce przydać może biednemu marynarzowi w Londynie. Ot i dobrzem zgadł! — zauważył, wyciągając z kieszeni kamizelki Paulwicza zwój banknotów.

Rosjanin zachnął się, próbując wyperswadować majtkowi, aby go nie ogałacał tak doszczętnie, nic jednak nie mógł wskórać; ustąpił zatem, pocieszając się jedynie myślą, iż człowiek ów nie będzie mógł użyć tych pieniędzy, czeka go bowiem śmierć niechybna.

Z trudem Paulwicz powstrzymał się od zagrożenia majtkowi, jaki koniec czeka Kincaid i jego pasażerów, bojąc się jednakże złych z tego dla siebie skutków, spuścił się cichaczem do czółna i odplynał do wybrzeża.

Gdyby mógł był przeczuć, jak okropne życie czeka go w dżungli, byłby z pewnością wybrał śmierć na otwartym morzu, niż narażanie się na lata tak strasznej udręki.

Marynarz, schowawszy starannie zdobyty łup powrócił na pomost, podczas gdy w kajucie Paulwicza poruszał się regularnie, w ciszy nocnej, mechanizm małej szkatułki, zawierający zemstę rosjanina, która miała dotknąć nieświadomych niebezpieczeństwa pasażerów Kincaidu.

ROZDZIAŁ XIX.

Ostatnie chwile Kincaidu.

Nazajutrz już o świcie, Tarzan był na pokładzie, badając stan pogody. Niebo było bez chmurki, wiatr uspokoił się zupełnie, postanowił zatem ruszyć w stronę wyspy dżungli, gdzie miał pozostawić zwierzęta, poczem zamierzał powrócić z żoną do ojczyzny!

Człowiek - małpa zbudził podszypera, oznajmiając mu, że mają wyruszyć natychmiast. Pozostali członkowie załogi, na zapewnienie Lorda Greystoke'a, że nie spotka ich kara za współdziałanie w występkiem postępowaniu dwóch rosjan, wzięli się z zapalem do należących do nich czynności.

Zwierzęta zostały wypuszczone na pokład, ku trwodze majtków, musiały jednak poskromić swoją skłonność do spróbowania ludzkiego mięsa, pod czujnym okiem Tarzana i Mugambi'ego.

Wreszcie statek opuścił wody Ugambi i znalazł się na kołyszących falach Atlantyku, poruszał się jednak wolno, zbyt wolno dla Tarzana, serce bowiem stęsknionego ojca biło z niepokojem na myśl o utraconym synu i pragnął jaknajprędzej rozpocząć poszukiwania dziecka.

Wkrótce wyspa dżungli zarysowała się na widnokręgu.

Tymczasem w kajucie Aleksandra Paulwicza mechanizm zawarty w czarnej szkatułce poruszał się miarowo, mała wskazówka, wychodząca z jednego z kółek, zbliżała się coraz więcej do drugiej wskazówki, którą Paulwicz ustawił w pewnym punkcie na tarczy całego mechanizmu. Za zetknięciem się tych dwóch wskazówek, maszynierka cała miała ustać, na zawsze...

Janina i Tarzan stali na pomoście spoglądając w stronę wyspy. Ludzie znajdowali się na pokładzie patrząc się w tę samą stronę. Zwierzęta spały w cieniu balustrady. Spokój i cisza panowały na pokładzie i na morzu.

Nagle dach nad kajutami wyleciał w powietrze, obłok czarnego dymu uniósł się nad Kincaidem, którym wybuch wstrząsnął od rufy do rufy.

Istne piekło wybuchło na pokładzie, Akut i jego towarzysze, oraz Szita, jeśli niespokojnie kręcić się po pokładzie, wyjąc i rycząc na różne tony. Mugambi drżał cały, tylko Tarzan i żona jego zachowali panowanie nad sobą; człowiek - małpa zabrał się do uspokojenia zwierząt, następnie zaś sprawdził wraz z przerażonymi majtkami istotny stan rzeczy. Okazało się, że największe niebezpieczeństwo leżało w rozprzestrzeniającym się pożarze, którego mimo wysiłków nie udało im się zgasić.

Cudem prawdziwym nikt z załogi nie został raniony przez wybuch, którego powód znany był jedynie majtkowi postawionemu na straży ubiegłej nocy, nie było jednak obawy, aby wymówił się on z tem przed Tarzanem, w słusznej obawie kary, jaka mogła go być spotkać za wpuszczenie wroga na pokład statku, nie zameldowawszy jego obecności uprzednio.

W kwadrans po wybuchu statek został unieruchomiony i Tarzan orjentując się szybko w położeniu wydał rozkaz spuszczenia szalup, w których usadowiła się załoga, jego groźna drużyna i on sam z żoną i Mugambim.

Skoro zwierzęta Tarzana poczuły powietrze rodzimej wyspy, jęły kręcić się niespokojnie w łodzi, gdy zaś czołna dobiły do brzegu, Szita i małpy wraz z Akutem zniknęły czempredziej w zaroślach dżungli.

Smutny pół-uśmiech ukazał się na twarzy człowieka - małpy.

— Żegnajcie przyjaciele, — szepnął byliście mi wiernymi i dobrymi sprzymierzeńcami, będzie mi was brak bardzo.

— Ależ one chyba wrócą? Nieprawda mój drogi? zagadnęła stojąca obok męża Janina.

— Mogą wrócić lub nie, — odparł człowiek - małpa. — Bardzo było im nieswoje w tem musowem obcowaniu z tyloma ludzkimi istotami. Do mnie i do Mugambiego były już przywykły, gdyż my obaj w najlepszym razie jesteśmy tylko pół-ludźmi. Ty jednakże, tudzież inni członkowie załogi jesteście zbyt cywilizowani dla moich zwierząt. — uciekają one przed wami. Przypuszczam, że trudno im wytrzymać z widokiem tak dobrych kęsków, których im jednakże tknąć niewolno, wolą tedy oddalić się, aby którego z was nie skosztować przez pomyłkę.

Janina roześmiała się wesoło. Myślę, że po prostu chcą się trochę wymknąć na swobodę, — odparła. — Ty ciągle przecie zakazujesz im rozmaitych rzeczy, których to zakazów nie mogą pojąć. Z pewnością, że cieszą się jak małe dzieci, które umknęły przed surowością ojca. Mam jednak nadzieję, że jeżeli wrócą, nie przyjdą tu do nas w nocy. —

— A przedewszystkiem najważniejsze, aby nie powróciły zgłodniałe, co? — zaśmiał się Tarzan.

Po dwóch godzinach od czasu wylądowania, cała gromadka przypatrywała się płonącemu Kincaidowi, który wreszcie wstrząśnięty silniejszym jeszcze wybuchem pograżył się w falach morskich znikając im z przed oczu.

Ten drugi wybuch nasi znajomi wytłomaczyli sobie pęknięciem kotłów, co jednak było przyczyną pierwszego, pozostało to tajemnicą, nad którą przez długi czas łamali sobie głowę.

ROZDZIAŁ XX.

Znowu na wyspie Dżungli.

Pierwszą czynnością robotników było zaopatrzenie się w świeżą wodę i rozłożenie obozu, wiedzieli bowiem że mogą być skazani na kilkomiesięczny, a może nawet kilkuletni pobyt na wyspie dżungli.

Tarzan jako znający okolicę, doprowadził ich do najbliższego źródła, tam też ludzie wzięli się do kłecenia szałasów i najniezbędniejszych sprzętów sam zaś udał się na polowanie, zapuszczając się w dżunglę, zostawiwszy Janinę pod opieką wernego Mugambiego i mosulskiej kobiety, nie dowierzał bowiem w zupełności załodze Kincaidu.

Lady Greystoke cierpiała dotkliwie nad tym przymusowym postojem, pograżona w niepokój o los swego ukochanego dziecka.

Przez dwa tygodnie całe towarzystwo zajęte było przeróżnymi czynnościami, rozdzielonemi pomiędzy wszystkich członków.

Od świtu do zachodu słońca na jednej z wysuniętych skał nadbrzeżnych stał strażnik, gotów za ukazaniem się na widnokręgu statku, podpalić stos suchych gałęzi przygotowany w tym celu, dając w ten sposób znać o pobycie na wyspie rozbitków. Czerwona koszula jednego z majtków, zawieszona na wysokiej tyce służyła jako prymitywny sygnał.

Żaden statek jednak nie zjawiał się na dalekim widnokręgu, aby przynieść nieszczęśliwym rozbitkom nadzieję rychłego wybawienia.

Tarzan wreszcie poddał myśl wybudowania czołna, któreby ich mogło przenieść z powrotem do wybrzeża Afryki. Majtkowie tedy chętnie zabrali się do sporządzania potrzebnych na ten cel narzędzi pod kierunkiem człowieka-małpy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)